

# CZTERDZIEŚCI TWARDYCH

Barbara  
Stanisławczyk

WOJENNE LOSY POLAKÓW I ŻYDÓW  
PRAWDZIWE HISTORIE



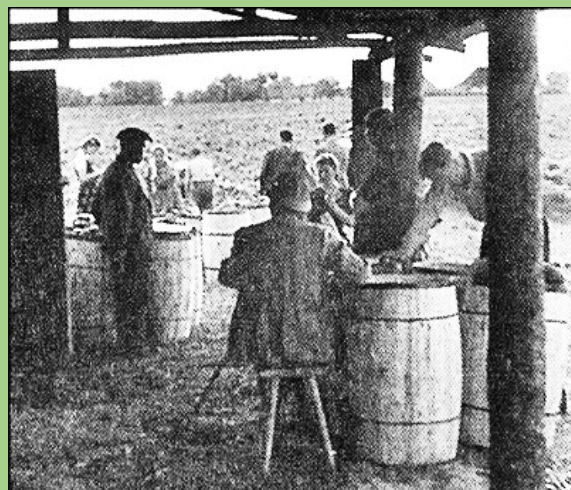
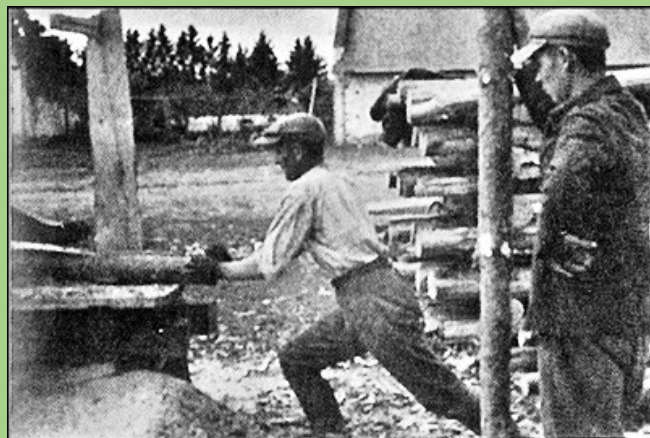
REBIS

## Dziedzice

MAJĄTEK KANIE w Lubelskiem w latach trzydziestych był własnością Ksawerego Stanisława i Zofii Wojciechowskich. Siedemset hektarów lasu, łąk, rozległych stawów rybnych i urodzajnego czarnoziemiu, a na jego skraju biały pałac zbudowany jeszcze przez księcia Woronieckiego, otoczony siedmioma hektarami parku z gamą wyszukanych gatunków drzew. W tym kompleksie należy jeszcze usytuować obszerny budynek rządówki i oddzielone warzywniakiem czworaki. Dalej już tylko kościół i wieś. Są lata przedwojenne. W majątku pracuje kilkunastu fernali, przed których bystrym wzrokiem nic nie da się ukryć. (Wścibscy byli, a przebiegli!). Dziedzic Wojciechowski od lat uprawia warzywa.

Jego współpracownikiem i współdziałowcem jest Żyd, Mojżesz Kohn. Specjalizują się w kiszeniu ogórków, co wtedy przynosiło niezłe zyski. To już niejako rodzinna tradycja, którą przejęli po swych ojcach, też wspólnikach. Rodzina Kohnów, z czwórką dorosłych dzieci, mieszka w swojej kamienicy w pobliskim Chełmie, ale na sezon przyjeżdża do Kaniego, gdzie wynajmuje we wsi drewniany dom.

Cała szóstka zajmuje się uprawą. Obsadzają pięć hektarów pola, zbierają ogórki, segregują i kładą do beczek. W sezonie kisili przeciętnie dwieście śledziówek. Beczki trudno było kupić, toteż produkowano je we dworze. Wypełnione ogórkami i niezbędnymi dodatkami (woda, sól, koper, czosnek), stały najpierw na polu w szopie, a następnie były transportowane do dworskich piwnic. Całego procesu technologicznego doglądał stary Kohn. Był bardzo dobrym fachowcem.



Przez te wszystkie długie lata bliskiej rodzinnej współpracy Wojciechowscy i Kohnowie nigdy nie usiedli razem do stołu, nie spędzili wspólnie świąt ani żadnych uroczystości, nie odwiedzali się w domach. Pytanie „dlaczego?” wprawia państwa Wojciechowskich (Włodzimierza i Annę, syna i synową Ksawerego i Zofii) niemal w osłupienie. Jakby mieli odpowiedzieć, dlaczego słońce świeci w dzień, a księżyc nocą. „Nikomu nie przyszło to nawet do głowy — mówią. — Ani im, ani nam. To była zupełnie inna kultura, inne zwyczaje. Nie, oni nie byli po to, żeby z nimi utrzymywać kontakty towarzyskie. Zresztą oni wcale do tego nie dążyli, wręcz przeciwnie. Nie starali się wtopić w polskie zwyczaje, polską kulturę, chociaż pozdawali matury, nosili się — jak się teraz mówi — po europejsku i nie byli zbyt pobożni. Zwłaszcza młodzi odchodzili od swoich tradycji, ale nadal czuli się wyłącznie Żydami”. Nie mówią więc o przyjaźni, tylko o interesach, ale kiedy trzeba poświadczyć w sądzie nieuczciwość innego Żyda, który wystawił dziedzicowi fałszywe weksle, Mojżesz się nie waha. A to już znaczy bardzo wiele, w czasach kiedy ludność w Polsce dzieliła się na swoich i obcych.



„Zazwyczaj mówi się, że Żydzi nie spotykali się z Polakami, bo panował antysemityzm i Polacy nie chcieli. To wielkie uproszczenie. Owszem, antysemityzm w latach trzydziestych był straszny, ja sam świetnie pamiętam opowiadania moich wujków o gettach ławkowych czy te dni, kiedy matka nie wypuszczała mnie na miasto, bo chodziły bojówki. Ale ówczesnej bariery między Polakami i Żydami samym tylko antysemityzmem wyjaśnić się nie da. Gdyby moi rodzice chcieli nawiązać wtedy stosunki towarzyskie z Polakami, musieliby dokonać bardzo dużego wysiłku kulturalnego. To by było trochę tak, jakbym ja w Ameryce — gdzie mieszkam już ponad czterdzieści lat — chciał nawiązać kontakt z Murzynami. Czy jestem rasistą? — nie. Czy mam uprzedzenie do Murzynów? — absolutnie nie! Czy mam znajomych Murzynów? — bardzo mało. Dlaczego? Kto wie dlaczego. Nie sądzę, żeby odrębność jakiejś grupy etnicznej w danym kraju wynikała wyłącznie ze świadomego odrzucenia. Są formy zachowania, które jednych ludzi zbliżają do siebie, a innych oddalają. Oczywiście nawet w czasach mojego dzieciństwa istniały sfery Żydów bardziej zasymilowane, w których więzy z Polakami były silniejsze, żyły rodziny zasymilowane jeszcze w XIX wieku - te wielkie rody Mendelsonów, Kacnelsonów, Szenicerów. Albo tacy ludzie jak Wat czy Leśmian — oni z pewnością mieli wielu polskich przyjaciół. Ale z drugiej strony, gdyby przyjrzeć się temu bliżej... Na przykład te kobiety, w których Leśmian się kochał, to wszystko były Żydówki! Jednak... Te dwa narody naprawdę żyły w pewnej odległości”.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Joanna Wiszniewicz, *A jednak czasem miewam sny*, op. cit., s- 9—10.

Rodzice Anny mieli wśród swoich przyjaciół Żydów z warszawskich rodów Handelsmanów, Preterów, Belzefów, Szymanowskich, z którymi spotykali się w domach, razem wychodzili do lokali, opery czy teatru. A jednocześnie omijali żydowskie sklepy, kupowali tylko u Polaków i po cichu to samo nakazywali córce. Uważali bowiem, że trzeba wspierać polski handel, bo inaczej upadnie pod ekspansją żydowską. W salonach rządziła więc kultura, wolna myśl i kurtuazja, a na ulicy surowe prawa rynku podsycane odpowiednią dawką propagandy.

*„Struktura społeczno-zawodowa ludności żydowskiej w Polsce wykazuje, że najmniej było wśród niej robotników (21%), najwięcej zaś drobno-mieszczanstwa (60%), burżuazji (7,5%) i inteligencji (6,5%). (...) Żydzi posiadali w całej Polsce przeciętnie 75% nieruchomości w miastach, 80% zakładów przemysłowych, 85% w handlu, 90% w bankowości oraz 90% zakładów ubezpieczeniowych”.<sup>2</sup>*

Wracając do Ksawerego i Zofii Wojciechowskich, mit o panach ciemężycielach ich nie dotyczył. Z wsią państwo mieli również bardzo dobre kontakty. Gdy ktoś we wsi zachorował, to zaraz biegł do dworu. Dziedziczka Zofia wyspecjalizowała się w prostych zabiegach medycznych i nikomu nie odmówiła pomocy. Później, już po wojnie, chłopcy odwzajemnili się jej życzliwością, kiedy to ona znalazła się w potrzebie. Pracowała na Pomorzu jako kierowniczka prywatnego przedsiębiorstwa ogrodniczego, które potem zamieniono na spółdzielnię ogrodniczą. Ktoś się dowiedział, że Wojciechowska to była ziemianka i chciano ją wyrzucić. Przyjechała wtedy do Kaniego. Ludzie witali ją ze łzami w oczach. Dwieście osób podpisało się, że była dla nich dobra i im pomagała. Dzięki temu utrzymała pracę. Jednak nie na długo. I tak ją zwolniono jako element burżuazyjny, wywrotowy, wrogi ideowo.

Ale najpierw nastał rok 1939. Starszy syn państwa Wojciechowskich, Włodzimierz Ryszard, mieszkał z żoną Anną w Dąbrowie Górniczej, w pięknej willi. Jako inżynier konstruktor, absolwent wydziału inżynierii na Politechnice Warszawskiej, pracował w prywatnej fabryce elementów betonowych i żelbetonowych „Wibrobeton”, należącej do Adama Dreckiego. Na Śląsku szczególnie wyczuwało się napiętą atmosferę nadciągającej wojny. Skończyły się dostawy cementu, bo cementownie stanęły, nie było więc z czego budować. Fabryka została zamknięta. Kto mógł, ewakuował się w głąb Polski. Młodzi Wojciechowscy spakowali rzeczy i nadali je koleją do Lublina. Wrócili do Kaniego ostatniego sierpnia z pustymi rękami, gdyż bagaże zaginęły gdzieś po



<sup>2</sup> Stanisław Wysocki, *Żydzi w dziejach Polski*, „Ojczyzna”, Warszawa 1995; s. 117-118.

drodze. Następnego dnia urządzono w majątku polowanie na kuropatwy. Ale nie ustrzelono wiele ptactwa, bo wkrótce dało się słyszeć nadlatujące eskadry niemieckich samolotów bombardujących tory kolejowe i stację Kanie.

6 września około północy szef propagandy Sztabu Naczelnego Wodza płk Roman Umiastowski w przemówieniu radiowym wezwał wszystkich mężczyzn, by ruszyli na wschód, bo tam miały się formować walczące oddziały. Włodzimierz z synem miejscowego kowala i gajowym Stępniewskim przepławili się wpław przez Bug poniżej Włodawy. Z tym drugim Włodzimierz czuł pewien związek duchowy, bo w 1920 roku bardzo młody Stępniewski zgłosił się na ochotnika i walczył u boku Piłsudskiego, ramię w ramię z trzema braćmi Włodzimierza (jednym ciotecznym i dwoma stryjecznymi), z czego sam Stępniewski był bardzo dumny. We dworze uważano go za piłsudczyka, bohatera i patriotę. Jako zaufany człowiek dostał posadę gajowego w majątku. W 1939 roku Włodzimierz, gajowy i syn kowala doszli do Kamienia Koszyrskiego i tam się zorientowali, że coś jest nie tak.



Zobaczyli bowiem, jak prawosławni zakonnicy rozbrajają wracających do kraju polskich żołnierzy. Rozumiejąc, że sytuacja jest niebezpieczna, Włodzimierz nie przyglądał się zajściu, tylko natychmiast ruszył w drogę powrotną, powiadomić kraj, że mamy już dwóch wrogów. Na trakcie Brześć-Kowel było pełno ludzi, cywilów i wojskowych. Szli pieszo, jechali furmankami i na koniach. Wszyscy kierowali się do Brześcia, tylko Włodzimierz z kompaniami w przeciwną stronę, bo w kierunku Kowla, by następnie skręcić na Luboml i Chełm. Żołnierze jednak uznali taki ruch pod prąd za podejrzany. Wzięli Wojciechowskiego za rosyjskiego szpiega. Miał bowiem przy sobie pistolet, lornetkę, a nie miał dokumentów. Dokumenty zginęły mu razem z wszystkimi rzeczami, które trzymał w plecaku. Żeby sobie ulżyć po drodze, wrzucił plecak na furmankę, ale w pewnym momencie furman (miejscowy chłop, nie wiadomo Polak czy Ukrainiec) zaciął konia batem i odjechał razem z bagażem. Wojciechowskiemu zostały tylko pistolet i lornetka, które nosił przy sobie, a na grzbiecie cienka wiatrówka. Ktoś z gapiów krzyknął: „*Tak, to ten, co do nas wczoraj strzelał. Rozwalić go!*”

Żołnierze zabrali Włodzimierza ze sobą, żeby go przesłuchać i wydać wyrok. Biegł kilka kilometrów przy wozie, czując wycelowane w siebie karabiny. Aż w końcu żołnierze mówią: „*Jak on twierdzi, że studiował w Warszawie, to my go sprawdzimy.*” Był wśród nich jeden warszawiak, który zaczął szczegółowo wypytywać o nazwy ulic, przecznic, kin itp. Włodzimierz zdał egzamin bezbłędnie i puszczono go wolno. Szedł dalej sam, gdyż jego dwaj towarzysze, którym udało się umknąć bolszewikom, nie czekali, co się stanie z dziedzicem.

W Lubomlu Włodzimierz zobaczył uzbrojonych Żydów z białymi opaskami i transparentami: „*Witajcie*”. W oczekiwaniu na bolszewików rozbijali polskich żołnierzy i zrywali im orzelki z płaszczy i mundurów. Na rynku piętrzyła się sterta karabinów. Cywilów nie zaczepiali. Niedaleko, w Maciejowicach, Włodzimierz spotkał polskich lotników. Ta jednostka jak dotąd uniknęła losu tych, które widział w Kamieniu Koszyrskim i Lubomlu. Mieli broń i trochę prowiantu. Dali nawet Włodzimierzowi bochenek chleba. Lotnicy wiedzieli, co się dzieje w Lubomlu. Podjechali tam następnego dnia pociągiem, wybili Żydów, a miasteczko (w większości żydowskie) podpalili. Włodzimierz słyszał odgłosy walki, a potem zobaczył czerwone łuny.

Niemcy doszli już w tym czasie za Chełm. Pole koniczyzny było świeżo usłane trupami i posiekane kulami z moździerzy. Resztki rozbitej armii wędrowały w kierunku Polski. Włodzimierz szedł z grupą obdartych, wycieńczonych żołnierzy. W Lublinie przywitali ich Niemcy, stojący po obu stronach drogi z wymierzonymi w nich karabinami. Rzucali suchary. Wyglodniali żołnierze je łapali. A Wojciechowski nie mógł się przełamać, by przyjąć jedzenie od wroga, chociaż był bardzo głodny. Przez kilka dni jadł tylko znalezione na polu zielone pomidory i chleb, który dostał od lotników. Błotnistą drogą dotarł do Kaniego, a tam rodzina spokojnie popijała na tarasie kawę. Niemcy wkroczyli do majątku dopiero na początku grudnia, ale zanim to nastąpiło, przez osiem dni panoszyli się tam Sowieci. Wtargnęli do dworu w strugach deszczu, mówiąc: „*My przyszedli uwidzieć, jak wy żywiście*”.

Pozdejmowali dzieciom zegarki. Zabrali też wszystko, co było do jedzenia. Żeby złowić trochę ryb, powyrywali zastawy spiętrzające wodę w stawach. Ryby spływały razem z wodą, potem było białe od przewróconych brzuchami do góry nieżywych karpia. Zniszczyli kilka ton ryb i 60 morgów stawów. Zabrali też 30 koni i 40 krów. Drabiniaste wozy. Grabili dosłownie wszystko. Ogołocili cały majątek. Na koniec ich pobytu nie było co jeść. „*To była przedziwna armia*” - mówi pani Anna.



Podczas bolszewickiej okupacji zjawił się w majątku znany z widzenia Żyd z Siedliszek, w granatowym płaszczu, z czerwoną opaską i pistoletem. Powiedział, że teraz on będzie tu zaprowadzał porządek. I wykrzykiwał do dziedzica: „*Żyjesz jak król, ty nie wiesz, że ludzie głodują. Myślisz, że masz dwa żołądki. Masz jeden, tak jak inni, nie musisz tyle jeść*”. Zszedł do piwnicy, gdzie Włodzimierz przechowywał cenny zbiór filatelistyczny, między innymi z wizerunkiem Piłsudskiego. Powiesił znaczki na końcu korytarza i strzelał do nich po kolei, jak do tarczy.

*„Jakie były uczucia Żydów w chwili wejścia bolszewików na teren Polski? Jest to bardzo drażliwa kwestia, ale postaram się być zupełnie uczciwy i obiektywny, pisać prawdę i tylko prawdę. Pierwszym uczuciem była niezmierna radość. Nie ma się zresztą czemu dziwić. Z jednej strony wkraczał Niemiec, głosząc hasła bezlitosnego wyniszczenia i wymordowania wszystkich Żydów, z drugiej zaś strony bolszewik z hasłem, że dla niego wszyscy ludzie są równi wobec prawa. Nie było czego tu porównywać. Żydzi cieszyli się, a ja – między nimi. Aczkolwiek całe życie byłem przeciwnikiem komunistów, teraz prosiłem Boga, żeby bolszewicy zajęli teren do Wisły. Byłem gotów stracić kino, interes, willę ojca - byleby tylko żyć jak wolny człowiek, bez żadnych ograniczeń rasowych.*

*Jednak nie skakałem z radości na widok czołgów sowieckich. Nie zaprzeczę, znaleźli się Żydzi - z dawien dawna komuniści - którzy rozbrajali oddziały polskie, ale czyż można za to winić wszystkich Żydów? Sądzę, że liczba Żydów poległych z bronią w ręku w obronie Polski była większa od liczby Żydów rozbrajających polskie oddziały”<sup>3</sup>.*

Wkrótce do Kaniego weszli Niemcy i chociaż wiadomo było, że niosą ze sobą śmierć, to trzeba przyznać, że wnieśli też po bolszewickich najeźdźcach trochę ogłady. Wypytywali, co się w majątku hoduje, jaka jest wielkość upraw itp. Wydali broszurki pouczające, jak zwiększyć wydajność. A dziedzice przystąpili do odbudowy zdewastowanego przez bolszewików majątku. W Wólce Kańskiej, która również do nich należała, uruchomili gorzelnię. Wprawdzie niemiecki treuhandler (komisarz) nadzorował jej pracę, ale jak się upił, to można było brać tyle spirytusu, ile się chciało. Zwłaszcza że gorzelnianym był Polak, który potrafił tak pokierować produkcją, że lewy spirytus płynął całymi beczkami. Włodzimierz z bratem zakopywali kufy ze spirytusem w dworskiej piwnicy. A potem sprzedawali. Odbiorcą był znajomy z Pawłowa. Handel przynosił dużo pieniędzy, które dziedzice inwestowali w gospodarstwo. Kupili krowy, konie, trzy traktory, wozy, najnowocześniejszą w tamtych czasach młockarnię Stal-Lanc, śrutownik i inne maszyny.



W okresie okupacji hitlerowskiej doprowadzili majątek do rozkwitu.

Połowę pałacu zajęli Niemcy. Urządzili w nim stützpunkt (posterunek). Z Chełma przyjeżdżał kreislandwirt (nadzorca okręgu rolnego) Müller, monachijczyk, zapalony myśliwy. Miał przydzielony wielki obszar łowiecki, między innymi Kanie. Wojciechowscy mieli za zadanie zorganizować polowanie. Przydzielono im kartki na sery, mięso, wędlinę i inne produkty, z których pani Anna musiała przyrządzić różne frykasy na ognisko zwińczające łowy. A Włodzimierz z gajowym Stępniewskim objeżdżali teren i wytyczali stanowiska oraz

<sup>3</sup> Calel Prechodnik, *Czy ja jestem mordercą?*, op. cit. s. 18

stawiali ambony. Raz na polowaniu stała się rzecz straszna. W Lasach Kraszeńskich, gdzie odbywało się polowanie, mieli swój bunkier bolszewicy, którzy nie zdążyli się wycofać. Kiedy usłyszeli nagonkę, zaczęli uciekać i wyskoczyli dokładnie na linię ognia. Niemcy strzelali do nich jak do zajęcy. Tu Stępniewski pokazał prawdziwe oblicze. Okazało się, że wiedział o bunkrze, utrzymywał kontakty z bolszewikami, a jednak ich nie ostrzegł. To był typ człowieka, który zawsze idzie z prądem, z silniejszymi. Gdy wygrywał Piłsudski, walczył w jego armii, gdy weszli bolszewicy, mizdrzył się do nich, a kiedy wypchnęli ich Niemcy, zapomniał o bolszewikach. Ponownie zapałał do nich miłością, kiedy wrócili z końcem wojny. Stępniewski okazał się zwykłym bandziorem. Niby zorganizował partyzantkę podszywającą się pod AK, a tak naprawdę była to banda trudniąca się rabunkiem. Szabrowali opuszczone przez Żydów domy, kradli chłopom świnie, konie, nawet z dworu wyprowadzili kilka świń, a z dworskiej piwnicy wynieśli kilkadziesiąt beczek z ogórkami. Stępniewski przysłał kiedyś do dworu swoich uzbrojonych ludzi. Ustawili Wojciechowskich pod ścianą z rękami do góry i zażądali jedzenia i broni. Stępniewski wiedział, że Włodzimierz zakopał broń myśliwską w parku. Niedługo potem ludzie Stępniewskiego zatrzymali na szosie Lublin—Chełm niemiecki samochód. Kierowcę Polaka postrzelili, a Niemca wzięli do lasu. Potrzymali go kilka dni i wypuścili. I zaraz potem nad Pawłowem pojawiły się eskadry bombowców. Wieś została zrównana z ziemią. Chłopi z Kaniego myśleli, że teraz przyjdzie kolej na ich wieś. Wynosili dobytek i żywy inwentarz w pole. Ale na Pawłowie skończył się odwet. AK z Krasnego wydała na Stępniewskiego i jego syna Cześka wyrok. Pod czworaki, gdzie mieszkał gajowy, podjechał rowerem pewien człowiek. Kiedy Stępniewski wyszedł, nieznajomy wyjął pistolet i strzelił do niego. Traf chciał, że kula tylko przebiła policzek i zatrzymała się na zębach. Nieznajomy próbował ponownie zarepetować broń, ale pistolet się zaciął, a gajowy zdążył się schować w warzywniaku. Na Cześku egzekucja się udała. Chłopi znaleźli go za wsią z przestrzeloną głową.

Niemcy nakazali dziedzicowi zwiększenie powierzchni upraw warzywnych, przydzielając do pomocy Żydów z pobliskich wiosek i miasteczek. Około trzydziestu osób. (W Kaniem Żydzi nie mieszkali na stałe, ale w okolicznych miastach stanowili 80 procent ludności). Mojżesz Kohn pełnił rolę nadzorca. Żydzi byli przestraszeni. Po kraju rozeszły się wieści o znęcaniu się żołnierzy Wehrmachtu nad bezbronną ludnością żydowską, o wrywaniu bród, niszczeniu synagog, grabieżach i mordach. W listopadzie 1939 roku władze hitlerowskie wydały rozkaz noszenia przez Żydów na lewym ramieniu żółtych opasek z gwiazdą Dawida. Ale Żydzi nadal się łudzili, że represje będą miały charakter jedynie ekonomiczny. W październiku 1941 roku przestali się łudzić. Wtedy bowiem ukazało się obwieszczenie nakazujące Żydom zgłoszenie się do gminy.

Pani Anna pojechała do Chełma, do kreislandwirta Müllera, prosić, by pozwolił pozostać w majątku chociaż rodzinie Kohnów. Tłumaczyła, że potrzeba rąk do pracy, a Kohnowie są wysoko wykwalifikowanymi specjalistami. Kreislandwirt odpowiedział, że to niemożliwe. I znacząco zasugerował, iż zapomni o ich prośbie. Odradził zwracać się z tym do kogokolwiek innego. „Dla państwa

*dobra*" — dodał. Było jasne, że wyrok zapadł.

Żydów z majątku Niemcy spędzili i zamknęli w kuźni. Przez całą noc sły-chać było krzyki i błagania: «*Panie inżynierze, pani inżynierowo, ratujcie*». *"To okropne, kiedy człowiek patrzy na takie nieszczęście i nic nie może po-móc. Nic"* - przypomina sobie swoją bezradność Anna. Na następny dzień żan-darmi popędzili Żydów do obozu w Trawnikach. Kohnów wśród nich nie było.

Przed łapanką zdołali się ukryć w stogu. Wiele lat później opowiadali Woj-ciechowskim, że wzięli ze sobą szable, na wypadek, gdyby Niemcy ich znaleźli. Broniliby się szablami.

*Heroiczna myśl* - śmiała się pani Anna - *ale doprawdy zabawna. Przecież by was wybili, nim zdołalibyście sięgnąć szabli.*

*Desperacka* - przyznali.

Kilka dni po wywózce, wieczorem, do dworu podszedł Fajfel, dostawca cie-lęciny. Pani Anna opróżniła spiżarnię, wręczyła mu tobolek z prowiantem, mó-wiąc: „*Ale trzymać cię nie mogę. U nas ciągle kręcą się Niemcy*". Fajfel poszedł w ciemną noc, a Anna ze łzami w oczach pomyślała: „*Boże, co z tego, że się przed śmiercią naje?!*”

Rodzina Wojciechowskich: starszy dziedzic i dziedziczka z dwoma synami – Włodzimierzem z żoną Anną i młodszym Maciejem - zebrała się na rodzinną naradę. Chcieli pomóc Kohnom. Zasta-nawiali się tylko jak. Kohnowie mieli typowo se-micki wygląd i akcent. Ukryć na dłuższy czas sze-ścioro ludzi w majątku, gdzie na stałe mieszka i pracuje kilkadziesiąt osób, gdzie nie ma żadnego miejsca, pomieszczenia, którego by pracownicy nie znali? W majątku, który przylega do wsi? Nie było mowy. Najwięcej obaw miał młodszy syn, Ma-ciej, prawnik z zawodu. Bał się, że zginie cała ro-dzina. Ale ojciec, dziedzic Ksawery, był przywią-zany do Kohna, traktował go jak kogoś bliskiego, nie chciał go zostawić na łasce losu. Maciej wkrótce wyjechał z Kaniego, a Włodzimierz poddał pomysł wybudowania bunkra. Przydała się wiedza inżyniera budowlanego i świetna znajomość te-renu. Wybrał miejsce bardzo zmyślnie - w środku gęstego zagajnika, na górcie, w odległości osiemdziesięciu metrów od ruchliwego traktu Kanie-Pawłów. Z drugiej strony zagajnik dotykał stawu-szyi (nazwa wzięła się z tego, że staw był długi i wąski). Włodzimierz kombinował tak: po zagajniku nikt nie będzie cho-dził, bo za młody na wycinanie drzew, a grzybów tam nie ma. Z gościńca nikt nie będzie w tym miejscu zjeżdżał, bo pobocze zapada się w mokradło. Bliskie sąsiedztwo stawu zapewni źródło wody. I nikomu nie przyjdzie do głowy, że Żydzi ukrywają się tuż pod nosem. Niemal na oczach ludzi.

Włodzimierz wezwał do siebie Szeję (Szymona Kohna) i przedstawił mu plan: trzeba wykopać pionowy szyb aż do wody gruntowej. Później drążyć szyb



poziomy pod ziemią, podbijając go okrągłakami z żerdzi olchowych (było ich w pobliżu pod dostatkiem). Wydobywaną wiadrami ziemię wrzucać do stawu. Oczywiście pracować tylko w nocy. Szeja przyjął plan entuzjastycznie i tej samej nocy cała rodzina zabrała się do pracy. Po dziesięciu dniach bunkier był gotowy, ale zanim to nastąpiło, sytuacja wyglądała groźnie.

Okoliczne wioski i miasteczka, zamieszkane w większości przez Żydów — Siedliszcze, Rejowiec, Trawniki, Liszcze... — zostały wysiedlone. Cała droga, którą gnano ich do obozu, była usłana książkami, papierami i innymi rzeczami, z których Żydzi rezygnowali w trakcie marszu. *„Nie zapomnę listu pożegnane go przysłanego z Majdanka od Żyda, który odbierał od nas ryby”* - wspomina Włodzimierz. Mosze pisał: *„Ukłon dla pana dziedzica i ukłon dla pani dziedziczki, ukłon dla pana inżyniera i ukłon dla pani inżynierowej, ukłon dla ich małego synka...”* Dalej opisywał swoją sytuację i zakończył: *„Żegnam pana dziedzica i żegnam panią dziedziczkę, żegnam pana inżyniera i żegnam panią inżynierową, żegnam ich małego synka”*.

Nie wszyscy Żydzi zgłosili się do gminy. Niektórzy wzięli ze sobą pierzyny, odzież, jedzenie i zaszyli się w leśnym gąszczu. Ale jedzenia nie wystarczyło im na długo. Przychodzili więc nocą do wsi. Ktoś ich zobaczył i doniósł do sołtysa Iwaniuka, a ten powiadomił kolonistów niemieckich z Lipówki, z których hitlerowcy utworzyli policję. Policjanci otoczyli las, przeczesali chaszcze, Żydów wyłapali i wywieźli do Sobiboru. Wojciechowscy mówią, że Iwaniuk to był porządny chłop, nie kradł, nie pił, ale gdy chodziło o Żydów, bał się o własną skórę. Na nim skupiała się cała odpowiedzialność za wszystko, co się działo we wsi.

Nim Kohnowie wybudowali bunkier, siedzieli w dworskich stopach albo w lesie. Dziedzic Ksawery pierwszy nabral w kieszenie gotowanych jajek, chleba i poszedł do nich. Ośmieleni przychodzili potem nocą do rządcówki, gdzie mieszkali młodzi Wojciechowscy, Włodzimierz z Anną. Rządcówka to był stary piętrowy budynek, który zamiast parteru miał wysokie piwnice ze sklepieniem. Kohnowie wchodzili przez okno po sznurowej drabinie, odsuwali deski w podłodze i lokowali się w obszernym łuku pomiędzy podłogą a sklepieniem. Do budynku mieli dobry dostęp przez ogród warzywny, tyle tylko że w pobliżu stały czworaki i kręcili się fornale. Ale dla Żydów w czasie wojny nie było idealnych miejsc. Każda kryjówka miała wady.

Bunkier, który wybudowali Kohnowie, miał szyb wentylacyjny, magazyn na warzywa i studzienkę z wodą gruntową nadającą się do picia. Po jednej i drugiej stronie stały po trzy posłania z poduszkami i pierzynami. Kłapa wjazdu była zamaskowana igliwem, a na środku posadzono mały jałowiec, który dla wtajemniczonych był punktem orientacyjnym. Pani Anna obeszła kiedyś cały zagajnik i nie mogła znaleźć bunkra. To był dobry sprawdzian. W czasie polowania Niemiec stał prawie na włączu, ale nic nie zauważył, Kohnowie zaś słyszeli każde jego słowo.

Zniknięcie bogatych Kohnów, którzy byli znani w całej okolicy, intrygowało niektórych chłopów ze wsi. Domyślali się, że Kohnowie muszą się gdzieś

ukrywać. Podejrzanie natychmiast padło na Wojciechowskich, bo nie było tajemnicą, że dziedzic darzył Żydów sympatią. Pewnego razu przyszedł do dworu sołtys z jednym chłopem i oświadczył: „Wszyscy doskonale wiedzą, że Kohny są schowane we dworze. Jak Niemcy ich znajdą, a znajdą na pewno, to tylko kwestia czasu, nie tylko pan dziedzic będzie za to odpowiadał. Ja jako sołtys pierwszy zostaną rozstrzelani, a może i cała wieś. Pan dziedzic przecież wie, że jak Niemcy znajdą jakiegoś Żyda, palą wieś. Ludzie się boją”. Włodzimierz (dziedzic Ksawery wyjechał już wtedy do swojej siostry, która została sama z małymi dziećmi w majątku w Kieleckiem), zaproponował, by przeszukali majątek, jeśli nie wierzą, że Kohnów w nim nie ma. Obeszli wszystkie budynki, opukiwali ściany, ale nikogo podejrzanego nie znaleźli. Kohnowie siedzieli już w bunkrze. Chłopi odeszli wcale nieuspokojeni.

Po okolicy rozchodziły się straszne opowieści, jak to hitlerowcy rozprawiają się z tymi, którzy chronią Żydów. Opowieści te nie były wymysłem. Po wojnie spisywali je historycy.

„We wsi Lipowiec Duży (pow. Biłgoraj, woj. lubelskie), w pewnej odległości od zwartej zabudowy wiejskiej, stał dom i gospodarstwo Wojciecha Kusiaka. Gospodarz ukrywał Żydów. Jedna z ukrywających się osób wyszła w jakiejś sprawie, została schwytana przez Niemców i wydała miejsce, gdzie się ukrywała. Przyszli żandarmi, wszystkich obecnych w domu ludzi rozstrzelali. Dom został podpalony. Zabici i spaleni zostali: żona gospodarza, syn lat 21, syn lat 5-6, Rybak Katarzyna, lat ok. 60, która przyszła mleć zboże w żarnach, i jedna niezidentyfikowana osoba, prawdopodobnie jeden z ukrywających się Żydów. Gospodarz i jeden syn byli nieobecni. Ci ocaleli.

(...) Woj. lubelskie, pow. Biłgoraj. 6 X 1942. Bidaczów Nowy, gm. Sól: 2 rolników rozstrzelanych przez Gestapo za ukrywanie Żydów. 28 XII 1942. Majdan Nowy, gm. Sól: 7 rozstrzelanych, 10 zabudowań spalonych — za udzielanie pomocy Żydom. Pow. Lubartów. Styczeń 1943. Samokłęski, gm. Rudno: 28 osób (1 rolnik ze Starościna i 27 Żydów). Rozstrzelani przez Służbę Bezpieczeństwa, Polak za ukrywanie Żydów. Pow. Lublin. Październik 1943. Skrzyniec, gm. Piotrków: 2 osoby (Polak ze Skrzyńca i jeden Żyd). Rozstrzelani przez żandarmerię, Polak za ukrywanie Żyda. Listopad 1943. Mętów, gm. Zęborzyce: 2 osoby z Mętowa (kobieta i rolnik lat 61). Rozstrzelani przez żandarmerię z Lublina za udzielanie pomocy ukrywającym się Żydom. Pow. Łuków. 29 VI 1943. Poizdów-Kolonia, gm. Białobrzegi: 9 osób (5 Polaków z Poizdowa — 2 dzieci w wieku 1 rok i 13 lat, 2 kobiety, 1 rolnik, oraz 4 Żydów). Rozstrzelani przez żandarmerię z Kocka Polacy za ukrywanie Żydów. Pow. Puławy. 10 XII 1942 i 18 II 1943. Wola Przybysławska, gm. Markuszów: 7 osób z Woli Przybysławskiej (dziecko lat 14, kobiety, reszta rolnicy). Rozstrzelani przez żandarmerię za ukrywanie Żydów. 5 XI 1942. Kępa Kolczyńska, gm. Rybitwy: 2 osoby z Kępy Kolczyńskiej (matka i córka lat 12). Rozstrzelane przez żandarmerię i policję granatową za ukrywanie Żydów. Październik 1943. Cezaryn, gm. Żyzyn: 3 osoby (1 rolnik i 2 Żydów). Rozstrzelani przez żandarmerię z Ireny,

*rolnik za ukrywanie Żydów. Pow. Siedlce. 10 IV 1943. Radzików-Stopki, gm. Czuryły: 3 rolników z Rządźewa (ojciec lat 70 i 2 synów). Rozstrzelani przez żandarmerię za ukrywanie Żydów i jeńców radzieckich..."<sup>4</sup>*

Co najmniej tyle osób zginęło w latach 1942-1943 w samym tylko województwie lubelskim. Złe wieści rozchodzą się jednak szybko i dużo dalej.

*„...w odwet za udzielanie schronienia, żywienie i otaczanie opieką ok. 100 Żydów pochodzących z Sasowa (pow. Złoczów), zbiegłych z obozu i ukrywających się w okolicznych lasach, niemiecka ekspedycja karna wraz z oddziałem faszystów ukraińskich otoczyła polską wieś Hutę Pieniacką (pod Sasowem) i wymordowała jej mieszkańców, paląc ich żywcem. Wraz z mieszkańcami spalono inwentarz żywy oraz wszystkie zabudowania. Słyszeliśmy z dala krzyki i zawodzenia oraz ryk krów. Kanalie germańskie pilnowały, by żaden człowiek ani nic z dobytku żywego nie wydostało się z płonących zabudowań. Wieś paliła się cały dzień, mordercy opuścili ją dopiero w nocy. Około północy, my, Żydzi, weszliśmy do wsi. Paliło się jeszcze wiele domów. Zebraliśmy kilku chłopów rannych wskutek postrzelenia lub poparzonych. Po pewnym czasie przybyli na wozach chłopci z drugiej wsi polskiej i rozpoczęła się akcja ratownicza. Ciężko rannych przewieziono do szpitali; wśród nich była Żydówka, która ukrywała się w kominie jednego z domów. Większość rannych zmarła”<sup>5</sup>*

W majątku Kanie o bunkrze wiedziały, oprócz dziedziców, panie Malczewskie - dwie przygarnięte uciekiniarki z poznańskiego, ziemianki. Jedna z nich dla zabicia czasu zawiadywała spiżarnią mieszczącą się w olbrzymich piwnicach pałacu. Z piwnic prowadziły dwa wyjścia, jedno od strony kuchni, drugie naprzeciwko, pod tarasem. To drugie porastała kępka bzu. Włodzimierz kazał stangretowi doprowadzać tam codziennie bryczkę, którą objeżdżał włości. Raz w tygodniu ładował na nią worki po cukrze pełne razowego i pytłowego chleba, masła, smalcu, oleju, mąki, kasz, jaj, drobiu, warzyw (dużo cebuli i czosnku, bo to dobre na przeziębienie). Prowiant przygotowywała dziedziczka Zofia z synową, a pomagała im pani Malczewska. Jedzenia we dworze nie brakowało. Niemcy zabierali wprawdzie kontyngent, ale nic ponadto. Wystarczało dla domowników, służby, fernali, no i dla Kohnów. Tylko niania Włodzimierza, która nadal mieszkała we dworze, dziwiła się: *„Co tak teraz dużo chleba idzie? Całe fury”*. A Włodzimierz lokował worki za siedzeniem i ruszał w rutynowy objazd. Wszystko to działo się pod bokiem Niemców, którzy stacjonowali we dworze. Włodzimierz zrzucał prowiant do dołów niedaleko bunkra w starym lesie. Doły powstały w czasie budowy stawów, kiedy to wydobywano z lasu ziemię na umocnienie grobli. Z czasem w wyrobiskach lisy porobiły sobie jamy, a wszystko porosły krzaki. Teraz doły były wygodnym „punktem zrzutu”.

<sup>4</sup> Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna, *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945*, „Znak”, Kraków 1969, s. 867, 833

<sup>5</sup> Szymon Datner, *Las Sprawiedliwych. Karta z dziejów ratownictwa Żydów w okupowanej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 1968, s. 86-112

Prowiant odbierali młodzi Kohnowie. Szli tak, żeby nie pozostawić na ziemi śladów stóp: najpierw przez zagajnik prostopadle do długiego brzegu stawu, porośniętego sitowiem, następnie wzdłuż stawu sitowiem do grobli, aż do drogi, która dochodziła do traktu Kanie-Pawłów. Przeskakiwali przez drogę do starego lasu i już byli przy wyrobisku. Wracali dokładnie tą samą trasą. Jechanie gotowali na maszynkach spirytusowych. W majątku, jak wiadomo, spirytusu było pod dostatkiem.

Starzy z bunkra nie wychodzili. Bali się, że nie zdążą uciec w razie zagrożenia, nie dojrzą niebezpieczeństwa. Na dzień otwierali tylko klapę, ale to nie zapewniało wystarczającego dopływu światła. Ich cery były bladospine. Ale nie chorowali. Może dlatego, że dobrze się odżywiali. Zabrali też do bunkra zapas lekarstw i zażywali je profilaktycznie. Tylko czas im się dłużył potwornie. Dwa lata i trzy zimy spędzone pod ziemią wydawały się wiecznością. Myśleli, że wojna nie skończy się nigdy. I że do końca swoich dni są skazani na życie pod ziemią. Byli bliscy załamania. Włodzimierz zanosił im gazety, szachy i pocieszał, że już niedługo będą mogli wyjść, bo z frontu napływają pomyślne wieści. Stary Mosze wyszedł na drabinę, a łzy płynęły mu po zwiędniętych policzkach. *„Niech pan nie płacze - powiedziała Anna. - Ruszyło się pod Stalingradem, niedługo wy wyjdziecie, a my tu wejdziemy”.*

O wyzwoleniu powiadomił Kohnów gajowy Stępniewski. Wytropił ich kryjówkę jeszcze przed wyzwoleniem, bo młodzi Kohnowie, słysząc, że Niemcy zaczynają przegrywać, zlekceważyli środki ostrożności i skrócili sobie drogę do starego lasu. Zamiast do stawu poszli przez łąkę, pozostawiając w mokrej trawie wyraźne ślady. A gajowy był czujny. Nie dawał za wygraną, jakby się z kimś założył, że znajdzie Kohnów. I znalazł. Kohnowie dali Stępniewskiemu biżuterię, a obiecali kamienicę w Chełmie. I Stępniewski milczał jak grób. Nawet dziadkom się nie przyznał, że odkrył tajemnicę. W lipcu 1944 roku byli więc mocno zaskoczeni, kiedy Stępniewski przywiózł Kohnów z lasu drabiniastym wozem. Cała wieś zbiegła się oglądać Żydów. Chłopi szeptali między sobą: *„Skąd oni się tu wzięli? Kto ich przechował?”*

Słowa pani Anny, wypowiedziane nad bunkrem, okazały się prorocze. Wkrótce wyszło rozporządzenie, by dworscy robotnicy organizowali folwarczne komitety. Fornale z Kaniego, nieobyci z biurokracją, wybrali na przewodniczącego komitetu dziedzica Włodzimierza, żeby ich reprezentował w Chełmie. Ale tam towarzysze ich oświecili, że to nie tak. Na wieś przyjechał niejaki towarzysz Wrona z drugą towarzyszką z Lublina z „ramienia komisji do spraw usprawniania reformy rolnej” i przemówił na zebraniu: *„Polska Ludowa obaliła burżuazyjny ustrój wyzyskiwaczy i krwiopijców. Teraz wy, fornale i chłopi, wy, klasa pracująca miast i wsi, jesteście przewodnią siłą narodu. Odtąd władzę będzie sprawował lud. Odbierzcie to, co wam się należy. Dziedzic Wojciechowski to pasożyt, który wzbogacił się na waszej krzywdzie. Koniec z uciskiem, towarzysze. Precz z panami, precz z darmozjadami, ziemia chłopom”.* Kiedy więc dziedziczka Zofia poszła do piwnicy po jabłka, fernal, który stał tam na straży, powiedział speszony: *„Pani dziedziczko, ja nie mogę pani*

tego dać". A komitet folwarczny wezwał dziedzica Włodzimierza, oświadczając mu, że otrzymuje przydział pół kwintala pszenicy. Na co dziedzic odrzekł:

— *Wy mi nie będzie przydzielać mojej pszenicy. Weźcie ją sobie.*

W domu żona go skarciła:

— *Czyś ty zwariował? Przecież poumieramy z głodu.*

Młodzi Wojciechowscy szykowali się do drogi. Opuszczali majątek. Dziedzic Korczak z sąsiedniego majątku został już aresztowany i wywieziony „na białe niedźwiedzie”. Włodzimierz wiedział, że z takiej wywózki się nie wraca. Wprawdzie Mosze Kohn pojechał do Hilarego Minca, który był w tym czasie szefem biura ekonomicznego PKWN, wstawić się za dziedzicem, ale skutek był identyczny jak wtedy, kiedy pani Anna pojechała do kreislandwirta Müllera prosić za Kohnami. O, jak Włodzimierz żałował, że wszystkie pieniądze, zarobione przez wojnę na spirytusie, hodowli i uprawach, zainwestował w gospodarstwo. Teraz musiał je zostawić nowym panom, nazywającym się towarzyszami.

Za zgodę na zabranie trójkołówki, przydzielonej jeszcze przez Niemców do wywożenia warzyw, Włodzimierz musiał dać teraz Wronie łapówkę — ładną zieloną kurtkę z leszczkowskiej wełny, którą miał na sobie, i kilka indyków. Niewiele rzeczy zmieściło się na trójkołówkę. Zwłaszcza że jechali z dwójką dzieci. Trzyletni synek był od urodzenia kaleki! Córeczka miała niespełna miesiąc. Poród odbierała babcia Zofia, która nie pozwoliła wiejskiej akuszerce dotknąć synowej. A lekarz z Siedliszczek nie chciał przyjechać, gdyż dzieci w nowych czasach byli naznaczeni trędem polityki. Teraz byli reakcją, elementem wywrotowym, pasożytami, ciemieżcami, wrogami ludu itp. Wojciechowscy zabierali ze sobą tylko to, co niezbędne: kołdry, poduszki, pościel, ręczniki, ubrania, biżuterię (można ją wymienić na pieniądze)... I trochę książek: Bogusławskiego, Iliadę, Odyseję, wydane w 1815 roku, z księgozbioru dziadka Szymona. O meblach, srebrach, porcelanie, całej bibliotece nie było mowy. Nie zmieściłyby się. A i tego Stępniewski - teraz jako człowiek „słuszny” i jednocześnie przewodniczący komitetu folwarcznego — próbował im zabronić. Energicznie zabrał się do rozładowywania pojazdu, ale oficer stacjonujących we dworze wojsk polskich go zbeształ. W owym czasie w majątku, jak w bezpiecznym gospodarstwie, kręcili się przeróżni ludzie. Wojska polskie, wojska radzieckie, pracownicy UB, partyjni działacze, „fachowcy” od reformy rolnej...



W brzydki, deszczowy, szary dzień, 2 listopada, Włodzimierz Wojciechowski z żoną Anną i dwójką dzieci wsiedli do trójkołówki, którą nazywali hulajnogą, zmuszeni rozpocząć zupełnie nowe życie.

Jechali przez park. Jeszcze niedawno ich własność, teraz już nie, czy kiedykolwiek znów będzie należał do nich? Anna odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na dwór, zapamiętać go na zawsze. Łzy same cisnęły się do oczu, a Włodzimierz powiedział:

— *Nie płacz, jeszcze tu wrócimy.*

— *Nigdy już tu nie wrócimy* - pozbawiła męża złudzeń. — *Historia się nie odwraca.*

Do szosy prowadzącej na Lublin było trzy kilometry po ciężkiej, gliniastej drodze, rozmoczonej przez jesienną wilgoć. Dobrze, że wyciągnął ich parą koni Kartaś, młody chłopak z Kaniego, mający opinię łobuziaka. A tu proszę, Kartaś nie dość, że sam zaofiarował pomoc, to jeszcze nie chciał zapłaty.

Pojechali do Piasków, do znajomego proboszcza, u którego zatrzymali się na kilka dni. Włodzimierz miał zamiar następnego dnia wrócić do Kaniego po inne rzeczy, ale z samego rana zjawił się na plebanii zdyszany Szymon (Szeja Kohn). Biegł 24 kilometry z wiadomością od dziedziczki Zofii, żeby nie wracali, bo ich aresztują. Pani Zofia została jeszcze we dworze. W pewnym momencie podeszło do niej dwóch panów w cywilu, mówiąc, że jest aresztowana. Prowadzili ją, przystawiając pistolet do pleców, kiedy nadszedł rosyjski porucznik, z którym dziedziczka przegadała długie godziny.

Porucznik był człowiekiem wyjątkowo kulturalnym i inteligentnym, jak na radzieckie wojsko, mówił normalnym językiem, a nie tylko: władza ludowa, proletariat. Dziedziczka zaś otrzymała niegdyś rosyjską maturę, toteż świetnie się z porucznikiem dogadywała. I teraz porucznik krzyknął: „*Co tu się dzieje? Jakim prawem? Kto wy? Dlaczego się u mnie nie zameldowaliście?*” Po chwili otoczył wojskiem majątek i aresztował pracowników lubelskiego UB. A pani Zofii podpowiedział w zaufaniu: „*Jest okazja, żeby pani uciekała, póki nie jest za późno. Oni tu wrócą, gdy się wszystko wyjaśni, a wtedy...*” Nie musiał kończyć. Pani Zofia natychmiast udała się za Włodzimierzem i Anną do księdza. Proboszcz wysłał do majątku kilku chłopów z furmankami, na które załadowali dwa fortepiany, trochę mebli i przywieźli je na przechowanie do księdza. Reszta sprzętów została w majątku: całe piętro antyków, a przede wszystkim dwie szafy biblioteczne pełne książek i czasopism. Z oprawionych tygodników „Kłosa” i „Romanse i powieści” nowi urzędnicy powyrywali środki, kartki walały się po pałacu i podwórku, a sztywne okładki wykorzystali do swoich papierów. Zostały też zbiory przyrodnicze Włodzimierza: ponad sto wypchanych ptaków różnych gatunków, zasuszonych motyli... Włodzimierz napisał do profesora Domaniewskiego, żeby zajął się okazami. Profesor odpisał, że wyśle samochody, ale nigdy tego nie zrobił. Zbiory przepadły. Pani Zofii zaś żal było palm, których doglądała przez długie lata. Poszła więc do Zarządu Ziemi Miejskiej w Lublinie, ale urzędnicy nie byli zainteresowani pańskimi roślinami.

Zimą 1944/1945 roku państwo Wojciechowscy spędzili w Lublinie, gdzie wynajęli pokój przy ulicy Głowackiego 13 u znajomej, pani Sarnawskiej. Lublin był zawałony cennymi rzeczami. Wszyscy chcieli je sprzedawać za żywność i mieszkania, a nikt nie chciał kupować. Gdyby nawet chcieli sprzedać ostatni klejnot rodzinny, nie mieliby komu. Kiedy nie było co włożyć do ust, Anna podchodziła do zlewu, wypijała pięć szklanek wody, żeby mleko napłynęło do piersi, i karmiła niemowlę. A Włodzimierz jeździł trójkołówką do Warszawy, na Pragę, kupował bibułkę do papierosów i sprzedawał w Lublinie.

Którejś nocy milicja aresztowała Włodzimierza pod pretekstem braku zameldowania. Dołączył do grupy innych mężczyzn, którzy oczekiwali na wyrok. Jednego z nich spotkał wiele lat później w Gliwicach i dowiedział się, jakiego losu niemal cudem uniknął. Tamten, wywieziony w głąb Związku Radzieckiego, przez wiele lat na zmianę wycinał lasy albo pracował w kopalni. Włodzimierzowi się udało, bo wtedy w areszcie podszedł do niego żołnierz, mówiąc:

– *Niech pan nic nie robi, postaram się pana zwolnić.*

– *A skąd pan mnie zna?* - zapytał zaciekawiony Wojciechowski.

– *Pamięta pan, jak kupował w Chełmie narzędzia rolnicze, a ja pomagałem przy załadunku? Dał mi pan duży napiwek. Niech pan poczeka.*

I poszedł, a kiedy Włodzimierz został wezwany na przesłuchanie, ten sam żołnierz odezwał się: „*Znam go. To porządny człowiek*”. Włodzimierz nie zna nawet nazwiska żołnierza, który ocalił mu kilkanaście lat życia, a może i wybawił od śmierci.

Na wiosnę 1945 roku Wojciechowscy przenieśli się do ciotki do Otwocka. Teraz trójkołówka służyła jako taksówka. Włodzimierz przewoził ludzi z Dworca Zachodniego na Dworzec Wileński. Przejazd kosztował 40 zł od łebka. Przed stromym, prowizorycznym mostem przez Wisłę pasażerowie musieli pchać „hulajnogę”, aż na most wtoczyło się pierwsze koło. Wtedy wskakiwali w biegu do środka i siadali na skrzyniach. Po paru dniach Włodzimierza zatrzymała kobieta kierująca ruchem ulicznym. Kazała zjechać na bok. Po chwili podszedł rosyjski oficer, który najpierw postraszył Włodzimierza aresztowaniem, a następnie zasugerował, że jeśli Wojciechowski będzie mądry, to uniknie kłopotów. Dobili targu. Kobieta liczyła kursy, a Wojciechowski płacił od nich procent. Jednak po kilku miesiącach zaczęła funkcjonować komunikacja miejska, pojazd często się psuł i interes się skończył.

Wtedy pani Anna pojechała do Łodzi szukać możliwości zarobku. Tam mieszkała rodzina Żydów, którzy w czasie wojny ukrywali się przez jakiś czas u ojca Anny, Jana Michalskiego. Nazywali się Roszkowscy i byli właścicielami fabryki cukierków. Dali Wojciechowskim przedstawicielstwo na Śląsk. Anna z Włodzimierzem pojechali tam trójkołówką z pierwszą partią słodyczy, ale Ślązacy chcieli wówczas kaszy, grochu, słoniny, a nie cukierków.

Niedaleko ulicy Piotrkowskiej Anna spotkała inną znajomą Żydówkę, Stellę. Stella z kolei ukrywała się na początku wojny u pani Lachowej, dozorczyńni w rodzinnym domu Anny przy ulicy Siennej 24. Pomagała Lachowej zamiatać podwórko, ostentacyjnie nosiła na szyi krzyżyk i żegnała się przy byle okazji. Anna natychmiast zorientowała się, że to Żydówka. I gdy zawoziła jedzenie swojej rodzinie, obdarowywała nim również Stellę. Kiedy Sienna została włączona do getta, ojciec Anny zabrał Stellę do swojego drugiego mieszkania przy ulicy Śniadeckich 12. Przed opuszczeniem domu zamurował w piwnicy wszystkie cenne rzeczy: srebra, część biżuterii, zastawy stołowe... A Stella mu w tym pomagała. Do Anny mówiła:

– *Pani inżynierowo, ja mam młyny w łęczyckim. Po wojnie odwdzięczę się pani i panu ojcu.*

– *Nie musi pani. Dość nam tego, co mamy* – odrzekła Anna.

Kiedy spotkały się po wojnie w Łodzi, Stella była ubrana w karakułowe futro, a dziewczeczka w stare zniszczone ciuchy.

— *Teraz może ty nam pomożesz* — poprosiła. — *Potrzebuję noclegu.*

W sublokatorskim pokoju Stelli Anna dostrzegła pod łóżkiem buty narciarskie, identyczne jak jej, w których jeździła przed wojną. Pomyślała: jeśli są moje, będą miały wygrawerowane panieńskie inicjały. I na spodzie butów wyryte było: A.M. (Anna Michalska). A na serwantce stała srebrna taca z domu ojca.

— *To jest nasze* - powiedziała do Stelli.

— *Nie* - odparła Żydówka. - *Wyniosłam te rzeczy z płonącego domu. Szabrowaliśmy, bo nie mieliśmy co jeść. I tak to wszystko zostałoby zasypane pod gruzami. Teraz jest moje.*

Nie chciała oddać pamiątki nawet za zapłatą, bo taca zbyt jej się podobała. Ojciec miał do Anny pretensję, że nie poszła na milicję. Ale po co miała iść? Dokładnie pamiętała słowa Wrony na wiejskim zebraniu: „*Wojciechowski to pasożyt, krwiopijca, burżuazyjna reakcja... Teraz mu się nic nie należy.*”

Włodzimierz wrócił do swojego zawodu budowlańca. W Instytucie Budowlanym w Gliwicach personalny zapytał:

— *A szanowny tatuś pana to ile hektarów miał?*

— *Niecałe siedemset* - odpowiedział, ale pracę dostał, bo wtedy potrzeba było doświadczonych fachowców, zwłaszcza inżynierów.

W instytucie partyjni towarzysze patrzyli na Wojciechowskiego niechętnie, ale kiedy został dyrektorem w Katowicach, ci sami towarzysze wychodzili tyłem z jego gabinetu, kłaniając się.

Wojciechowski chciał odejść. Źle się czuł jako jedyny bezpartyjny wśród partyjnych, jednak ówczesny wicewojewoda katowicki, Jerzy Ziętek, orzekł: „*Tu musicie pracować, tu jesteście potrzebni*”. Dopiero kiedy Ziętek poszedł na emeryturę, Włodzimierz przeniósł się do Zakładu Badań i Doświadczeń Zjednoczenia Budownictwa Betonów w Warszawie na stanowisko doradcy technicznego. Pracował od poniedziałku do soboty włącznie, a w niedzielę pierwszym pociągiem jechał do Gliwic do żony i dzieci. Wracał w poniedziałek znowu pierwszym pociągiem.

Przez dwa lata mieszkał w piwnicy u kolegi z czasów studiów, Łempickiego, syna byłego właściciela fabryki papy. Zimą i latem było w miarę dobrze. Zimą grzała kotłownia, więc było ciepło, latem zaś panował przyjemny chłód. Najgorzej było wiosną i jesienią, kiedy kaloryfery już albo jeszcze nie działały: wtedy dokuczał ziąb nie do wytrzymania. Wojciechowski mówi, że miał trochę lepsze warunki niż Kohnowie w lesie, bo przynajmniej nie kapalo mu na głowę, a na górze stał fortepian. Mógł tam iść i pograć albo przynajmniej posłuchać muzyki. Myślał, że mieszkając w piwnicy, odzyska swoje przedwojenne mieszkanie przy Alejach Niepodległości 221 m. 1, do którego Ministerstwo Komunikacji wsadziło swojego inżyniera. A ten chciał w zamian M-7. Do transakcji doszło dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy Wojciechowski dostał M-7 dzięki interwencji Ziętka.

Z Kohnami Wojciechowscy długo nie mieli kontaktu. Raz pani Zofia spotkała Szymona na wczasach nad morzem. Ożenił się, miał córeczkę. Opowiadał, że cała rodzina wyjechała z Polski. A jego polskie władze nie chciały wypuścić. Pozostali Kohnowie osiedlili się w Tel Awiwie. Tylko Rosia, która wyszła za mąż za dyrektora Przedsiębiorstwa Taksówkowego w Warszawie, wyjechała z mężem do Australii. Przed wyjazdem w 1950 roku Rosia i Szymon złożyli przed rejentem zeznanie, że rodzina Wojciechowskich uratowała im życie. Z Tel Awiwu w latach pięćdziesiątych kilka razy przysły paczki z pomarańczami i dwa przekazy po 25 dolarów każdy. Po śmierci starszych Kohnów kontakt na wiele lat się urwał.

W styczniu 1986 roku Włodzimierz Wojciechowski napisał do Żydowskiego Instytutu Historycznego: *„W końcu lipca 1985 r. minęło 41 lat od chwili, kiedy cała rodzina żydowska Kohnów, złożona z sześciu osób, wyszła z podziemnej kryjówki... Nie uważałem dotąd, aby zdarzenie to nadawało się do rozgłosu. Nie chwaliłem się tym nikomu z moich Uważałem, że to, co się stało, było oczywiste i naturalne. Należało do naszego obowiązku udzielić bezinteresownego ratunku skazanym na zagładę. Ostatnio dużo się mówi o pomocy, jakiej w czasie okupacji Polacy udzielali Żydom. Określa się tę pomoc jako niewielką. Wyświetla się filmy, które ukazują męczeństwo Żydów w Polsce, ale nie wspomina się o tym, że w tym czasie Polacy byli również masowo wywożeni do obozów koncentracyjnych i mordowani. Wielu ludzi za granicą może przypuszczać, że w czasie okupacji krzywda działa się tylko Żydom, a my żyliśmy sobie prawie beztrąsko, a pomimo to nie okazywaliśmy Żydom dostatecznej pomocy. Dlatego doszedłem do wniosku, że należy ujawnić nieznaną dotąd fakt uratowania od zagłady całej sześciuosobowej rodziny żydowskiej...”*

Niedługo potem odezwali się Kohnowie i zaprosili Annę, Włodzimierza i jego brata do Izraela na wręczenie Medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Cała rodzina Kohnów wyszła na lotnisko z transparentem: KOHNO-WIE -WOJCIECHOWSCY.

Poznali się od razu i rzucili sobie na szyję. Później, w domu, Szymon, który w 1958 roku otrzymał wreszcie zgodę na wyjazd, powiedział: *„Naród niemiecki zasłużył, żeby go zetrzeć z powierzchni ziemi”*. Do wspomnień z Polski nie chcieli wracać, bo tam przeżyli swoją największą tragedię. Polska była świadkiem ich cierpienia i upokorzenia, a świadka często nienawidzi się równie mocno jak samych przeżyć i ich sprawcy. Nigdy żadne z nich tu nie przyjedzie.

Podobnie Włodzimierz nigdy już nie zajrzał do Kaniego. Raz pojechała tam Anna i też więcej nie pojedzie. To już nie było to samo miejsce. Dworek, który dawniej lśnił bielą, teraz był szary, brudny. W salonie stały piętrowe łóżka, a kominek zasłaniała szafa. Przykry zapach sprawił, że Anna nie była w stanie zwiedzić reszty tak znanych, bliskich sobie kątów. Wokół biegały chore psychicznie dziewczyny i zadzierały sukienki. W pałacu urządzono dla nich ośrodek opiekuńczy, a wokół założono grządki, żeby miały zajęcie. Zabytkowe drzewa zostały wyrąbane na opał. Kilka hektarów rzadkich okazów poszło z

dymem. Pewnie nic by nie zostało, ale przy ścinaniu wielkich sosen zginął człowiek, przygniotło go drzewo i ten wypadek odstraszył grabieżców.

Dawny stangret Bolek Skolimowski i dawna podkuchenna Staśka Skomrowska gospodarzą teraz każde na dwóch hektarach, które otrzymali z reformy rolnej. Ale się ucieszyli na widok Wojciechowskiej... Staśka powiedziała: „Dobrze było dożyć tej chwili, żeby zobaczyć panią dziedziczkę”.



# CZTERDZIEŚCI TWARDYCH

*Ta wojna zdemaskowała człowieka. Jakiegoś Polaka, jakiegoś Żyda, jakiegoś Niemca, Rosjanina, Ukraińca, Łotysza, Litwina... To nie narody były dobre albo podle, bohaterskie lub tchórzliwe... tylko konkretni ludzie.*

Książka ta opowiada o splątanych losach Polaków i Żydów w czasie drugiej wojny światowej i dramatycznych ludzkich wyborach – o najwyższym poświęceniu i cichych bohaterach, którzy często wcale się za takich nie uważają. Ukazuje też specyficzne więzi, jakie rodzą się między prześladowanymi a ich wybawcami. Autorka wykracza poza czasy wojenne, ukazując dalsze zawikłane historie wybawców, którzy niekiedy sami stawali się ofiarami.

Autentyczne relacje uczestników wydarzeń, zdjęcia, przytaczana powojenna korespondencja sprawiają, że jest to lektura przejmująca, a zarazem wartościowy historyczny dokument.

Za książkę *Czterdzieści twardych* Kongres Polonii Australijskiej odznał autorkę okolicznościowym Medalem im. Jana Strzeleckiego, a Polski Oddział Stowarzyszenia Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przyznał legitymację Honorowego Członka i Jubileuszowy Krzyż Zasługi.



Barbara Stanisławczyk, dziennikarka, pisarka, jest autorką książek: *Matka Hłaski*, *Milosne gry Marka Hłaski*, *Pajęczyna*, *Syndrom bezpieczeństwa*, *Kąkolewski bez litości*, *Od jutra*, *Dziewczyny*. Pisała reportaże w „Tygodniku Solidarność”, „Po Prostu”, „Twoim Stylu” i „Pani”. Pełniła funkcję redaktor naczelnej w miesięcznikach „Pani” oraz „Sukces”. Prowadzi zajęcia z reportażu na Wydziale Dziennikarstwa UW.



REBIS [www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)



Cena det. 33,90 zł





# תעודת כבוד Dyplom Honorowy

NINIEJSZYM ZAŚWIADCZA SIĘ, ŻE RADA D/S SPRAWIEDLIWYCH WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA PRZY INSTYTUCIE PAMIĘCI NARODOWEJ "AD VASHEM" PO ZAPOZNANIU SIĘ ZE ZŁOŻONĄ DOKUMENTACJĄ POSTANOWIŁA NA POSIEDZENIU W DNIU 4.11.1987 r.

ODZNACZYĆ **Stanisława i Zofię Wojciechowskich** ORAZ **Włodzimierz i Annę**

MEDALEM SPRAWIEDLIWYCH WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA, W DOWÓD UZNANIA ŻE Z NARAŻENIEM WŁASNEGO ŻYCIA RATOWALI ŻYDÓW PRZEŚLADOWANYCH W LATACH OKUPACJI HITLEROWSKIEJ. WYMIENIONYM PRZYNAJE SIĘ PRAWO ZASADZENIA POD ICH IMIENIEM DRZEWKA W ALEI SPRAWIEDLIWYCH NA WZGÓRZU PAMIĘCI W JERUZOLIMIE.

Jeruzolima Izrael, dnia 17.11.1987 r.

*[Signature]*  
בשם רשות הזכרון יד ושם  
W IMIENIU "AD VASHEM"

וזאת לתעודה שבישיבתה פיום א אדר תשפ"ז החליטה הועדה לציון חסידי אומות העולם שליד רשות הזכרון יד ושם על יסוד עדויות שהובאו לפניה, לתת כבוד ויקר ל **סטניסלב ו- זופיה וויציאקובסקי ולודזישיאז ואנה**

על אשר בשנת השנאה באירופה שנו נפגעו בכפם להצלת יהודים נרדפים פידי חודפיהם ולהעניק להם את המדליה לחסידי אומות העולם ולהרשות להם לנטוע עץ בשטח בשדרות חסידי אומות העולם על הר הזכרון בירושלים.

נתן היום בירושלים, ישראל  
טז אדר תשפ"ז

*[Signature]*  
בשם הועדה לציון חסידי אומות העולם  
W IMIENIU RADY D/S SPRAWIEDLIWYCH

DYPLOM HONOROWY  
dołączony do medalu "SPRWIEDLIWI WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA"



medal "SPRWIEDLIWI WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA"  
dla Rodziny Wojciechowskich

### Wywiady Anny i Włodzimierza Wojciechowskich

#### **Anna Wojciechowska:**

- 1/4 <https://www.youtube.com/watch?v=hxokGFb-IDA&t=341s>
- 2/4 <https://www.youtube.com/watch?v=zh4gZqH-MeU>
- 3/4 <https://www.youtube.com/watch?v=gxDB5PxO8yc>
- 4/4 <https://www.youtube.com/watch?v=W4FoNdTOKKI&t=27s>



#### **Włodzimierz Wojciechowski:**

- 1/4 <https://www.youtube.com/watch?v=cvzplI7wAJA>
- 2/4 <https://www.youtube.com/watch?v=y7IDmYyazBQ>
- 3/4 [https://www.youtube.com/watch?v=KZvbzsyV\\_IM](https://www.youtube.com/watch?v=KZvbzsyV_IM)
- 4/4 [https://www.youtube.com/watch?v=Q1e\\_Pb5JD0E](https://www.youtube.com/watch?v=Q1e_Pb5JD0E)

